

**DRAMAT POLSKI
REAKTYWACJA**

Redaktorzy naukowcy serii
Artur Grabowski i Jacek Kopciński

Zofia Posmysz

Czy to temat?

Dramaty

Wybór i wstęp **Anna R. Burzyńska**
Opracowanie tekstów **Anna Dżabagina**

Przy torze

Osoby

NARRATORKA

DRÓŻNIK

NARRATORKA

Zdarza się tak niekiedy w powieściach; rozpędzony ekspres zatrzymuje się w pustym polu pod zamkniętym semaforem, jakiś podróżny, powodowany niewytłumaczalnym nakazem, wysiada i idzie przed siebie – w nieznane.

To jednakże, że tego dnia i ja wysiadłam w podobny sposób, nie stało w żadnym stosunku do takich nieobliczalnych, a nawet wręcz dziwnych kroków. Było bowiem przewidywaną i wykorzystaną okolicznością.

Ze stacji do miasta – celu mej podróży – trzeba iść pięć kilometrów. Jeśli natomiast zdarzy się, że zamknięty semafor zatrzyma pociąg na tak zwanym przejeździe, w lesie koło domku dróżnika, jest to traf nad wyraz pomyślny. Świadomy rzeczy podróżny, wysiadając tutaj, drogę nie tylko skraca, ale i urozmaica – zamiast zakurczonym traktem idzie przez las.

Miałam to szczęście. Było letnie późne popołudnie, po dusznym wagonie cień lasu był niczym woda dla spragnionego. Podążając za grupką podróżnych, miejscowych prawdopodobnie, weszłam w las. Ale uszliśmy ledwie kilkadziesiąt metrów, kiedy rozległ się grzmot, zaskakująco bliski. Granatowa chmura nasuwała się na słońce zdumiewająco szybko. Było do przewidzenia, że burza złapie nas w środku lasu. Zawróciłam pośpiesznie; jakaś kobieta podniosła się z trawy na mój widok. Powiedziała: „Może zdążymy do dróżnika”. Spojrzałam na nią. Mogła to uczynić wcześniej, było stąd przecież nie więcej niż sto metrów. Kobieta była nietutejsza, uderzyło mnie coś obcego w jej twarzy. Rozpadało się, nim osiągnęliśmy domek przy torze. Grube krople poznały plamami nasze suknie. Biegąc, wpadliśmy do sionki. Wtedy otworzyły się drzwi, jedyne, jakie się w niej znajdowały.

Effekt: bliski grzmot.

DRÓŻNIK

Może panie wejdą dalej. Nieprzyjemnie stać w sieni. Tu można przynajmniej usiąść.

NARRATORKA

Moja towarzyszka nie skorzystała z zaproszenia. Wolą pozo-
stać na progu i patrzeć na deszcz. A ja weszłam i tak poznałam
człowieka z domu przy torze.

Efekt: stukanie telegrafu.

DRÓŻNIK

Swego czasu obraziłem się na życie. Najgłupsze, co można
zrobić. Ale to wiem dopiero dziś. Gdybym teraz miał tamte
swoje dwadzieścia cztery lata, to pewnie... Chociaż co to można
twierdzić? Czy dziś postąpiłbym inaczej? Nie wiem. Bo wciąż
chyba jeszcze nie przystałem do życia, a ono do mnie.

Kiedy zaczęło się to odstawanie od życia, nawet się nie
domyślałem. W szkole – byłem taki jak inni, całkiem taki sam.
W jakim momencie przekroczyłem ten punkt, jak go przekro-
czyłem, dlaczego, tego nie wiem. Godziny myślenia nad tym...
Gdyby je zliczyć – byłyby lata.

O tej porze, od siódmej wieczór do jedenastej, to już prawie
nie ma pociągów. Telegraf cichy, ciche szyny, nic nie jedzie i wiem,
że nie nadjedzie. A przecież czasem – głupie czekanie – może
coś poza rozkładem?

Cztery godziny. Co dzień przez dwadzieścia cztery lata – to
będzie cztery i pół roku bezustannego myślenia: gdzie jest ta
zwrótnica w życiu ludzkim i jak człowiek ma wiedzieć, że to
właśnie to, głupstwo jakieś, coś je już przestąpił bez możliwości
zawrócenia? Dlaczego nie ma semaforów, które by ostrzegały?

Raz, był to rok czterdziesty czwarty, późna wiosna albo
wczesne lato, poszedłem sobie pod wieczór torem. To moja
robotą – chodzić torem. Taka ścieżka przy torze jak obrębek
u chusteczki; idę, cicho jest, druty nad głową mi buczą, świecą się
szyny, idę. I raptem nogi stają same. Tak. Ten sygnał był słuszny.
To jest. Wybrzuszenie szyny – od upału czy od czegoś innego...
Jest. Z dala, z paru kroków niewidoczne. Nie ma mowy, żeby to

zauważył maszynista. I parowóz skacze jak konik polny. Koła
przez moment przestały przystawać do szyn. Tak i z człowiekiem.
Nie przewidzi, kiedy ten jego parowóz wyskoczy z szyn. Myślę
nad tym prawie od tej chwili, kiedy wszedłem do tej budki i do
tego domku. A to, wykolejenie, to nie na moim odcinku było,
proszę pani... nie na moim.

Efekt: telefon, zapowiedź nadchodzącego pociągu.

DRÓŻNIK

Z początku, dwadzieścia cztery lata temu, na każdy telefon
biegłem. Karol. Powie, przyzna – czekałem na to. Mężczyznę
stać na prawdę, nawet kiedy to jest przyznanie się do podłości.
Tym się różni od kobiety, w tym jest jego wyższość. Słusznie
się pani uśmiecha... To, że to opowiadam, daje już pani prawo.
Ale ja nie myślałem, wtedy przynajmniej nie myślałem, że będę
to kiedyś opowiadał.

Nigdy nie lubiłem kobiet. A zresztą nawet nie to, że bym ich
nie lubił. Tylko przyznawałem im akurat tyle, ile im się należało.
Prawdziwe rzeczy są między mężczyznami. Ważne sprawy, rze-
czywiste uczucia, istotne wartości – są możliwe tylko między
mężczyznami. Wybierałem zawód pod tym kątem: marynarka,
lotnictwo albo wojsko. Zgodziłem się ostatecznie na kolej. Nie
miałem wyboru po tym, jak Karol zabił tego inspekcyjnego¹;
w końcu kolejnictwo było przed wojną także rzeczą pospolitą
mężczyzn.

Z Karolem weszliśmy w sztamę w podchorążówce. Przedtem
jeszcze kolegowaliśmy w gimnazjum, ale jeszcze nie tak napraw-
dę, choć zawsze było między nami inaczej niż między innymi
kolegami. Nigdy nie mieliśmy sprawy o dziewczyny. Podobała
mu się moja znajoma, mówiłem: „bierz ją”. On tak samo. Była
jedna taka, nawet ci z wyższych szkół za nią łązili, próbowała
nas rozdzielić. Inne też tego już przedtem próbowały, ale ona
miała szanse. Czarowała więc najpierw mnie,
a kiedy myślała, że już mnie ma, przerzuciła
się na niego. Powiedziałem, kiedy to odkrył:
„szczęść wam Boże”, a Karol... Karol jej nie

1. Inspekcyjny – oficer,
pracownik przeprowa-
dzający inspekcje.

wziął. Później – w podchorążówce – tak samo. To był mężczyzna. Przyjaźń była dla nas ważniejsza niż dziewczyny. Ale to nie wszystko. Godzinami mogliśmy z sobą przebywać, żaden się nie nudził, umieliśmy gadać ze sobą – bez wielu słów. Kto znalazł takiego przyjaciela, będzie po nim bolał bardziej niż po ojcu i matce.

Mieliśmy inspekcyjnego, wredny był facet. Upatrzył sobie coś do mnie: nie da mi skończyć podchorążówki, i już. Pochodziłem z biednej rodziny, z wielkim trudem przeszedłem przez gimnazjum, wojsko to była moja jedyna szansa życiowa, jeśli nie liczyć jeszcze plebanii, na którą nie miałem ochoty. Ten inspekcyjny znany był z takiego kawału: podchorążego po dwunastogodzinnej warcie stawiał jeszcze na noc do pilnowania magazynów. Magazyny znajdowały się daleko za koszarami, na łąkach. Mało komu udawało się nie zdrzemnąć. Wystarczyło piętnaście minut, a ten drań – tak się już w tym wyspecjalizował – potrafił wartownikowi wyjąć z zamka magazynek. Idzie potem na pewniaka, szura. Wartownik zrywa się, ostrzega raz, drugi, naciska cyngiel, a tu tylko kłapnięcie się rozlega, a oficer wali przez trawę jak czołg. Potem miesiąc ścisłego albo i gorzej. Miałem już dwie ciężkie przeprawy z tym draniem. Byłem uprzedzony, że jeszcze jedna i wylecę z podchorążówki. I akurat tego dnia przy rannym capstrzyku znowu się do mnie o coś przyczepił. Byłbym wsiąkł, bo od razu zaraportował dowódcy. Wtedy wtrącił się Karol. Był właśnie w baraku, po nocnej warcie, i widział tę scenę. Potrafił udowodnić, że to zwykła szykana. Inspekcyjny wyszedł na durnia. I bach, Karol idzie na nadprogramową wartę dzienną, a po niej już dalszy, konsekwentny ciąg: warta nocna przy magazynach. W sumie trzydzieści sześć godzin bez przerwy. Przepustkę wieczorną diabli wzięli i spotkanie z siostrą, która tego dnia do niego przyjechała. Ani słowa nie usłyszał nikt od Karola. Nikt go też nie zagadywał. Przed wieczorem udało mi się zakręcić jakoś koło wartowni. Popatrzyliśmy na siebie – oczy Karola były prawie przezroczyście.

Efekt: daleki, przeciągły, a potem coraz bliższy gwizd lokomotywy.

DRÓŻNIK

Czy to wtedy był ten zwrotny punkt w jego życiu? Czy to prze-czuwał? Powiem pani: niczego mi w życiu nie szkoda, tylko jego. Czasem nie ma innego wyjścia, jak bić na odlew, czasem jest to nakaz. Ale jak doszło do tego, że Karol...

Efekt: zbliżanie się pociągu, gwizd, otwarcie semafora, zwalnianie, zatrzymanie.

DRÓŻNIK

Stanie pewnie. Tak jak pociąg pani. Często się tak dzieje. Tłok z pociągami na stacji, za mało torów. Przed wojną także się to zdarzało, chociaż nie było takiego jak teraz ruchu towarowego. Mila też tak kiedyś wysiadła; to był pierwszy rok mojego pobytu w tej budce, uważanego za tymczasowy. Mówiła: „Zawzięłeś się, to głupio obrazić się na cały świat, co ja temu jestem winna, napisz list do Czajkowskiego”. Czajkowski to był stryj Karola, wysoki urzędnik w dyrekcji. „Cóż z tego – mówiła Mila – że on dostał tamtą stację tobie przyrzeczoną, przecież chcieli ci dać inną, duma kosztuje, na to musi być człowieka stać”. Mila nic nie rozumiała, zresztą nie oczekiwałem tego od niej, to była sprawa między mężczyznami, konkretnie między Karolem a mną. Ale napisałem wtedy ten list proszalny i znienawidziłem Milę, świat i siebie.

Tylko Karola jeszcze nie. Nie mogłem go znienawidzić, mogłem nim tylko wzgardzić, ale podstaw do wzdargi nie chciałem dostrzec ani przyznać, że istnieją. Rzuciłem więc tę drugą stację, którą dostałem z łaski, i wróciłem tutaj na posterunek. Bo to był mój posterunek walki o Karola. Zdałem sobie wreszcie z tego sprawę – dlaczego tu wróciłem. Uważałem jeszcze za sensowne walczyć o niego. Był na tej samej linii. Wiedział, że tu jestem, a także i to, dlaczego tu jestem. Między nami nie padły jeszcze żadne słowa. A przede wszystkim te, na które czekałem... Kiedy dzwonił telefon, kiedy odzywał się telegraf, myślałem: to on. Powie: „Zrobiłem ci świństwo, stary”. Przyzna. Niczego więcej nie potrzebowałem. Tylko tego, aby przyznał. Czekałem, wierząc, że się doczekam, póki go nie ujrzałem. Akurat stacja miała tor

wolny i ten pociąg, którym jechał, nie stanął pod semaforem. Ujrzałem go w pierwszej klasie, stał w oknie, palił papierosa. Widział mnie, nie zrobił znaku. Przestałem od tej chwili czekać na te słowa. Przegrałem.

Mila nie pokazała się więcej. Przegrała też, bo kochała mnie, a nie udało jej się pogodzić mnie z życiem. Co dla niej było tym punktem zwrotnym? Moje odejście, małżeństwo z Karolem, czy może w wiele lat później ten wykolejony pociąg?

Nie wiem. Nie żałowałem wtedy utraty Mili. Nie była mi potrzebna. Kobiety w tym czasie miałem zatrzęsienie. Nie tylko miejscowych. Przyjeżdżały z całej dystrykcji różne babulki przywabione rozgłosem dziwnego dróżnika. Niejedna marzyła o spełnieniu misji przywrócenia mnie światu. Miało to równie mało sensu jak moje dalsze pozostawanie tutaj. Mimo to zostałem, oddany jednej myśli: „dlaczego”. To była oś, wokół której kręciła się maszynaria mojego mózgu. Wiedziałem jedno, że muszę zrozumieć. Bo jeżeli nie zrozumieć, nie będę mógł żyć. Jeżeli nie zrozumieć „dlaczego?”, będę musiał skończyć ze sobą. Nie śpieszyłem się do tego. Starłem się zrobić wszystko, żeby sobie w pewnym momencie móc powiedzieć, że to już naprawdę wszystko. A tymczasem pozwalałem się pocieszać różnymi babulkami. Patrzyłem na nie i myślałem... Wie pani, jakim słowem myśli się o kobietach, które przychodzą same. Chociaż przecież nie żałowałem Mili. Ale nie było dla nich, dla żadnej z nich, miejsca w moim mózgu, który miał tylko tę jedną oś.

Dopiero po wojnie przeżyłem z kobietą coś bardziej ludzkiego, ale wtedy byłem już wolny od tamtych spraw. Związałem się z pewną felczerką, stąd, z pobliza. Było to coś więcej niż z innymi kobietami. Czasem przychodziło mi do głowy, że kto wie, czy to nie miłość, może jej nawet coś w tym sensie powiedziałem? Wtedy wspomniała o małżeństwie. Nie odpowiedziałem, a ona napomknęła jeszcze: „Bo gdyby było dziecko...” „Przyniesiesz tu, będę chował” – powiedziałem. Żart jak żart, ale ona nie pokazała się więcej, wyjechała stąd i nikomu nie zostawiła adresu. Nie szukałem, bo i po co? Nie ożeniłem się, kiedy liczyłem dwadzieścia pięć lat, czy miałem to robić pod pięćdziesiątkę?

Efekt: zbliżający się huk pędzącego ekspresu nakłada się na słowa, które giną, po czym stają się znów słyszalne, gdy pociąg się oddalił.

DRÓŻNIK

Raz jeden w życiu chciałem się ożenić. To było po wyjściu z wojska. Nie zostałem oficerem zawodowym. Po tej historii z inspekcijnym jakby się coś we mnie obsunęło. Poraziła mnie twardość, bezwzględność tego życia. Dogadaliśmy się z Karolem bez wielu słów, przechodzimy do rezerwy. Czułem wtedy potrzebę dobroci, miękkości i ciepła. Widziałem drogę: jakaś stacja nie najgorsza, kasztany, akacje, kwietniki starannie utrzymane, służbowe mieszkanie i Mila wyglądająca z okna, kiedy odprawiam pociągi. Miałem szczęście. Był wakant zawiadowcy z dobrą grupą, właśnie na stacji w jej mieście. Dostałem skierowanie i prawie zaraz, nim zdążyłem się tam zameldować, przeniesienie na inną stację, grupa o dwa stopnie niższa. Musiałem zwolnić miejsce dla... Karola. Jego stryj, ten z dystrykcji, osobiście to przeprowadził. Za jego zgodą czy za namową? Nie wierzyłem temu. Nie przyjąłem tego do wiadomości. Czekalem wyjaśnienia. Wierzyłem – najspokojniej, niezachwianie – że się dowiem. Nie dowiedziałem się – nigdy. Nigdy nie rozmawiałem z Karolem. Zacząłem rozmyślać. Do wariacji dochodziłem od myślenia, dlaczego tak, w ten sposób? Gdyby rzekł: „Słuchaj, stary, zależy mi na tym, żeby być na tej stacji”, powiedziałbym bez wahania: „bierz ją” – tak jak kiedyś... Nie przyjąłem żadnej z ofiarowanych mi stacji. Przyszedłem do tej budki, myślałem: tym przywiodę go do opamiętania. Czy to nie wtedy przekroczyłem ten punkt? Męska przyjaźń, wierność sobie... Czy nie rozumiałem tego zbyt dosłownie i dlatego nie spostrzegłem, że tor, po którym toczy się moje życie, to już ślepy tor?

Czy żałuję? Nie umiałbym na to odpowiedzieć. Zaprzepaściłem pewnie jakieś wartości w życiu, ale zyskałem inne. Zyskałem dystans w stosunku do tego, co ludzie nazywają życiem, a co może nim jest, a może nie. Nauczyłem się dystansu do siebie. Przedtem, przed moim przyjściem tutaj i jeszcze w rok, dwa po przyjeździe, byłem kimś, kto tylko czuł. Cierpienie, bunt, zwątpienie

– byłem tym wszystkim. Dopiero z czasem zacząłem wiedzieć o sobie. A wtedy ten, który był samym odczuwaniem, stał się kimś innym, któremu ja „wiedzący” przyglądałem się z boku. I tak już zostało. Jestem jak ten domek, ten semafor, szyny... Wychodzę przed budkę, salutuję przejeżdżające pociągi...

Efekt: przejeżdżający pociąg – do wyciszenia.

DRÓŻNIK

Kiedyś salutowałem tak Karola. To było w tamten wieczór, kiedy on wszedł do baraku i kiedy wszyscy podchorążowie stanęli na baczność – bez komendy. Śmieją się ludzie z przeczuć, ale tej nocy, kiedy ten inspekcyjny wyprawił Karola na wartę przy magazynach, nie usnąłem ani na chwilę. A kiedy huknęły strzały, trzy strzały jeden po drugim – wiedziałem. I osłabłem w jednej chwili tak, że nie potrafiłem zleźć z pryczy, a pot ciurkiem leciał mi po plecach. Co się stanie z Karolem?!

Jak to się rozniosło, jeszcze przed rannym apelem, że inspekcyjny nie żyje, nie wiem. Chociaż kiedyś bardzo odczułem śmierć matki, do tej nocy nie wiedziałem, co to rozpacz. Teraz na zimno rozstawałem się z życiem. Przez myśl mi nie przeszło, aby próbować przetrzymać to ciśnienie bólu. Tu nie było wyjścia: wyrok na Karola nie mógł nie być jednocześnie wyrokiem na mnie.

Ujrzałem go dopiero po dwóch dniach. Prosto z warty zaprowadzili go do aresztu. Ale Wacek, który razem z nim stał przy magazynach tej nocy, przyszedł po paru godzinach. Mówił: „Nic mu nie będzie. Sam słyszałem, jak trzy razy ostrzegał. I zeznałem to. A tamten walił na pewniaka, jakby szukał śmierci”. „Albo – powiedział któryś z nas – jakby wiedział, że karabin Karola nie wystrzeli”.

Nie osądziłem wtedy czynu Karola jak należy. Byłem nim zafascynowany. Coś w nim było zarazem zwykłego i upiornego, żołnierska rzecz – strzelać. Ale strzelać tak, żeby zabić? Dlaczego aż tak – myślało coś we mnie głęboko, na samym dnie myśli – aż tak?

Wacek nie opowiedział wtedy wszystkiego. Nie chciał w tych krytycznych dniach mówić za dużo. Później dopiero, kiedy już przycichło, powiedział do nas: „Inspekcyjny po prostu się

pomylił. Karabin jednego z nas naprawdę był pusty. On go opróżnił własnymi rękami. Tylko że to nie był karabin Karola. Pokręciło się sukinsynowi”.

Karol milczał podczas wszystkich rozmów na ten temat, tylko czasem spojrzał na Wacka tak, z takim jakby śmiechem w oczach, że mnie zimno się robiło. Jego, Karola, nikt w tym przedmiocie nie zagadywał, ja sam też nie śmiałem. Od tego wieczoru, kiedy wszyscy bez komendy stanęliśmy przed nim na baczność, stał się dla nas kimś niby wyższym rangą. Dla mnie też. I jakże mogłem kiedykolwiek po tym wzgardzić nim, to znaczy uwolnić się od niego?

Ale Wacek, ten podchorąży, co wtedy stał z nim na warcie, nie znał prawdy. Magazynek został wyjęty z jego karabinu, to prawda, ale przez Karola. Jeszcze przedtem, zanim inspekcyjny przyszedł. Bo Karol wiedział, że przyjdzie, czekał na to przyjście. A potem już cała rzecz była strasznie prosta.

Karol udał, że śpi, inspekcyjny bez przeszkód opróżnił jego zamek i poszedł sobie. Zgubiło go zamilowanie do pompy. Mógł przecież z miejsca, po dokonaniu tego zabiegu, obudzić Karola. Efekt w sensie sankcji karnych byłby ten sam. Ale on chciał to rozegrać teatralnie.

Odszedł. Odszedł na kilkadziesiąt kroków i Karol miał czas założyć do karabinu magazynek, wyjęty z karabinu Wacka. A potem już tylko czekał. Kilka minut, myślę, że bardzo długich. Nie wiem, jak wyglądał, kiedy tak czekał z niezachwianą pewnością, że zabi je. Opowiadając mi o tym, wyglądał jak zwykle, tylko oczy, oczy miał takie jak wówczas, przed wyjściem na wartę. A potem huknęły te trzy strzały, trzy razy raz po razie i Wacek się ocknął, podbiegł przerażony. Zastał Karola pochylonego nad ciałem. Siegając do kieszeni zabitego, Karol powiedział do Wacka: „Sprawdź no swój karabin, zdaje się, że ten drań miał zamiar ciebie urządzić”. I podał mu pełny magazynek.

Zrozumiałem wtedy, dlaczego trzeba było aż tak... I wtedy, po tej opowieści, zobaczyłem, jak to, co uważałem za wzór życia, pęcznieje i pęka pod naporem intensywności. I raptem zapragnąłem czegoś innego: dobroci, ciszy i łagodności. Jakaś stacja nie najgorsza, kasztany, kwiaty, Mila. A na tym tle to

prawdziwe, co było między mną i Karolem, rozgęszczone trochę, złagodzone, bardziej ludzkie.

Ale i to tło stało się własnością Karola.

Efekt: prosta melodyjka na mandolinie.

DRÓŻNIK

Mimo wszystko wiem, czym jest dobro w życiu człowieka. I wiem dzięki kobiecie. Nie, nie Mila. Człowiek, który mnie nim obdarzył, to ta felczerka. W jakieś dwa lata po tym, jak stąd odjechała, znalazłem na progu, w tej sionce, podrzutka. Chłopiec to był, mógł mieć około roku. Powiedziałem sobie – to mój syn. Od niej. Ta kobieta dała mi dziecko i sama się usunęła. Dała mi szczęście. Zrozumiała jak nikt: wszystko, czego trzeba mężczyźnie – to syn. Nie żona, nie matka, nie córka, ale syn. Wychowałem go sam. Ma trzynaście lat i z każdym rokiem rozumiemy się lepiej. Rozumiał mnie zresztą już wtedy, kiedy jeszcze nie umiał odpowiadać na to, co mówiłem. Chce zostać zawiadowcą stacji. A teraz sobie gra...

Efekt: dalszy ciąg melodii.

DRÓŻNIK

Gdybym go nie miał, może by mi przyszło odczuć pustkę takiego życia. Tamtego dnia, kiedy ten pociąg się tutaj wykoleił i kiedy stanąłem twarzą w twarz z Karolem białym jak papier, tamtego dnia z mojego mózgu wypadła oś, która go poruszała, i wszystkie myśli utknęły w martwym punkcie.

To była okupacja, okupant wyrugował Polaków ze wszystkich ważniejszych stanowisk. Nawet kiedy zostawił ich na kolei, musieli zadowolić się ochłapami. Nie wiedziałem, że najbliższym sąsiadem dróżnikiem był od pewnego czasu Karol. Widać przeniósł się niedawno, a zaraz potem było to wykolejenie. Dopiero potem przyszło mi na myśl pytanie, dlaczego on nie wziął czego innego, wiedział przecie, że ja tu jestem i że nieraz wypadnie nam się zetknąć. Ale wtedy, kiedy ujrzałem to wykrzywienie szyny i podniosłem słuchawkę telefonu, nie wiedziałem, do kogo będę mówił. Głosu też nie poznałem. A głos mówi: „Co tam, stary! (Tknęło mnie tylko to słowo »stary«). Co tam, stary!

Boli cię, że jakiś urlauber² wyleci w powietrze?!”. Zastanowiło mnie to. Nikt w tym czasie nie pozwalał sobie mówić takich rzeczy, chyba że do najbliższego człowieka, a tego tam, nowego, nie znałem i on mnie nie znał. Postanowiłem mieć się na baczności. Zatelefonowałem do stacji, że to już dwa tygodnie, jak miała być u mnie inspekcja i dotąd nic. Przebieg pociągów wzmożony, robót żadnych się prawie nie prowadzi... Przyjechali zaraz, takich trzech Niemców, jeden inżynier kolejowy. Przebadali mój odcinek, a ja prowadzę ich dalej, do tego miejsca, gdzie było to wybrzuszenie. Serce mi łomocze aż w skroniach: jeszcze krok, dwa, trzy, i zauważą. Ale inżynier zauważył tylko to, że to już inna „parafia”, i do mnie z pretensją, że nie na swoje wchodzę. Bo Niemcy bardzo byli wrażliwi na to nieprzekraczanie kompetencji. „Zgłosi się tamten – przyjedziemy”. Wsiadli w drezynę i po wszystkim.

Pierwszy pociąg przejechał. Nic. Drugi – też nic. Na ten trzeci, co przetaczał się przed moją budą z okropnym hałasem, patrzyłem jak na skazańca. Liczyłem wagony – sześćdziesiąt. Platformy z czołgami, działami i amunicją. Ta masa i szybkość – nie przejdzie. Nie może przejść. Nie omyliłem się.

Poszedłem tam, na odcinek winnego dróżnika, nie przeczuwając, że będzie to przez tyle lat wyobrażane spotkanie z Karolem. Ujrzałem go pośród tych czarnych z „banszucu”³, przy nim Milę. Jak to w snach bywa, poznawałem go i nie poznawałem, niby to on był, a nie on. „Sabotaże” – to słowo zabijało nawet za drobne niedopatrzenia. A tu spiętrzone wagony. Melduję czarnym, że mam coś do powiedzenia. Wtedy Karol zobaczył mnie i jego oczy stały się przezroczyste. To także dopiero później mi przyszło do głowy, że on przypuszczał, że ja o tym jego telefonicznym odezwaniu. Melduję, że przed trzema godzinami była tu inspekcja, która sprawdzała stan toru. Są tu także ci trzej z inspekcji, błedną, ale przyznają. Byli. Tylko że nie na tym odcinku – dodają z naciskiem – a na tamtym. „Der Kerl”⁴ to doskonale wie, sam ich prowadził. Karol patrzy na mnie. „No to jak – pyta ten z »banszucu« – gdzie

2. Urlauber (niem.) – urlopowicz.

3. Od Bahnschutzpolizei (niem.) – niemieckiej policji kolejowej z okresu III Rzeszy.

4. Der Kerl (niem.) – facet, chłop.

właściwie była ta inspekcja?” Wiem, że oni są panami, czyli że zawsze udowodnią mi kłamstwo, że im się da wiara, nie mnie. Wiem, przed czym stoję, ale wiem o tym jakby z daleka, jak się wie o kimś innym, że ma umrzeć, ale się tego nie odczuwa tak jak ten, kto umiera. Karol patrzy na mnie. Tak patrzył... Kiedy to było? Kiedy przyszedł z tego aresztu. „No, masz już spokój od tego sukinsyna, stary”, a może wtedy, kiedy mówił: „Nie było żadnej pomyłki, zabiłem go z rozmysłem”; a może jeszcze kiedy indziej? „Tu – mówię do Niemców – doszliśmy do semafora, a dalej Herr Inspektor już nie chciał, że to inny odcinek, a tamten niczego nie zgłaszał. Ale dotąd doszliśmy na pewno”. Wtedy ci trzej z inspekcji stracili głowę. Z pewnością nie zapamiętali, dokąd doszliśmy. Zaczęli z pośpiechem wyjaśniać, tłumaczyć. A to przechyliło szalę.

Nagle Niemcy zostawili nas. „Na swoje miejsce i nie oddalać się”. Zostaliśmy we trójkę: ja, Karol, Mila. Widzę, że Karol rusza wargami. Ale albo ja ogłuchłem, albo on stracił głos. Nie słyszę nawet dźwięku. Ale wiem, wiem, co to ma być. Zrobiłem ruch, żeby go zatrzymać – teraz to już nie było potrzebne – ale w tym momencie jedno z tych słów zadźwięczało. Słowo „wtedy” i za nim następne odzyskały brzmienie. „Zrobiłem ci świństwo, stary...” Poczuję się tak, jakbym był rozstrzelany, jakby coś we mnie rozstrzelano. I jeszcze ujrzałem, że Mila też tak się poczuła. Bo raptem odwróciła się i poszła polem przed siebie, na przelaj, przez skiby i bruzdy, potykając się i przewracając.

Drugi raz ten człowiek pozbawił mnie czegoś najważniejszego. Tym razem była to oś, która utrzymywała w żywości mój mózg.

Gdyby nie to dziecko... Przyszło w samą porę, wtedy kiedy ten mózg obumierał. Dała mi je kobieta, a sama się usunęła. Mój syn. Dzięki niemu nie żałuję niczego. Ani stacji z kasztanami i mieszkaniem służbowym, ani nienarodzonych dzieci moich i Mili, ani Karola. Chodzę po torach, salutuję przejeżdżające pociągi... Między siódmą a jedenastą, kiedy nie ma ruchu, myślę o życiu, ale nie w samotności i zagubieniu. Przychodzi chłopak. Ma trzynaście lat, a potrafi ze mną mówić, jak nie potrafił nikt prócz Karola. Mężczyzna. Mój syn.

Efekt: jakiś daleki, przeciągły gwizd pociągu.

NARRATORKA

Dawno przeszedł deszcz, tylko dalekie gromy pomrukiwały jeszcze, kiedy opuściłam dom przy torze. Moja przypadkowa towarzyszka uczyniła to znacznie wcześniej. Wysunęła się z pokoju służbowego, zanim dróżnik zaczął swą opowieść. Wolała stać w sionce i patrzeć na deszcz podskakujący pod rynnami. Potem, kiedy rozległy się dźwięki mandoliny i kiedy dróżnik powiedział: „A teraz sobie gra...”, usłyszałam jej głos. Zagadywała coś do chłopca. Później ich głosy umilkły. Kiedy wyszłam, nie było jej w sionce. Ruszyłam znowu w stronę lasu. Niebo błękitniało, gromy były coraz cichsze.

Zobaczyłam ich na skraju lasu, w pewnej odległości od domu. Siedzieli na sągu drzewa, chłopiec z mandoliną na kolanach. Patrzył na obcą kobietę chłodno, z pewnym niepokojem. Ta coś mówiła bardzo żywo, nieomal gorączkowo. Jej twarz pałała, oczy... W taki sposób na dziecko patrzy tylko matka. Przystanęłam i powiedziałam:

– Ojciec cię woła. Biegaj zaraz.

Chłopiec odwrócił się od kobiety, wydało mi się, że z ulgą. Pobiegnął natychmiast. Zwróciłam się do niej:

– Teraz już możemy iść do miasta. Bo i pani przecież do miasta?...

Nie odpowiedziała. Skierowała na mnie spojrzenie, którym odprowadzała chłopca. Było pełne mrocznego smutku.

Ta kobieta była matką tego chłopca. Ale to nie ona była tą felterką.

KONIEC